№ 2.

Warszawa, dnia 2 (14) Stycznia 1865 r.

TYGODNIK MÓD

NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. w Warszawie *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). Na Prowincji *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75). — W Cesarstwie i Królestwie, z dopłatą kopert pocztowych *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop. 50); *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 kop. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych: na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą. — **Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, prosimy adresować.** — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

KILKA SŁÓW O UCZUCIACH.

(Dokończenie).

Niektóre umysły wychodząc z zasady słusznéj, niemniéj jednak stawianéj nazbyt twardo, usiłują wykorzenić z serca ludzkiego pierwiastek miłosierdzia, wszczepiając na jego miejsce uczucie surowéj sprawiedliwości. Utrzymują tedy: że każdy członek społeczeństwa powinien wystarczać sam sobie, i że ludzie potrzebują tylko uznania swoich praw, nie zaś łaski. Zgoda na to; tylko że uznanie prawa nie może wyłączać popędów serca. Nie ma ani takich ustaw społecznych, ani takiéj potęgi na świecie, któraby wszelkiéj niedoli zdołała dać radę. Dopóki zaś istnieje niedola, serce wyprzéć się jéj nie może. Zresztą, ścisłe, stale oznaczone prawo, nazbyt jest suche, nazbyt twarde, bez miłosierdzia. Czyliż nie obdzieracie duszę z jéj przyrodzonéj piękności, wyzuwając ją z możności zamiany darów, z tego obowiązku wzajemnych usług, z tych miłych powinności których nie zawiązało ani prawo, ani interes, tylko potrzeba serca? I czyliż nie zachęcacie do egoizmu, zabraniając człowiekowi podzielać uczuciem niedolę bliźniego? Gdzież jest prawo, któreby wyłączało słodycz charakteru, usłużność, braterstwo? Nie jest to rzeczą godziwą, żeby się ludzkość bogaciła materyalnie kosztem duszy. Bez wątpienia, wielceśmy postąpili w uznaniu prawa, godności osobistéj i zasad słuszności; ale mamyż pozostać po za naszymi ojcami w tém jedynie, co stanowiło najpiękniejszą ich stronę? Nie, nie wyrzekajmy się z krzywdą moralnego udoskonalenia ani miłosierdzia, ani nawet pewnych słabości serca bez których drugim dobrze bywa.

Ale podczas kiedy jedni usiłują ukrócić panowanie bezwzględnéj miłości, drudzy, wprost przeciwnie, radziby zapewnić jéj przesadzone stanowisko, upatrując w tém co służy za zasadę społeczeństwa, to jest w zestawieniu praw i interessów, proste tylko zamaskowanie egoizmu. Tedy obmyślają sposoby silniejszego umocnienia węzłów społecznych, z pomocą ofiar ogólnych i zupełnego wyrzeczenia się siebie.

Kto chce poprawić naturę, próżno się kusi. Rozpatrzmy się w świecie zjawisk przyrodzonych, nie znajdziemy tam upędzania się za możebnością lub przymusem; przeciwnie, natrafimy wszędzie stopniowanie; ostateczności nawet prowadzące do ofiar, ściśle przebywają drabinę przygotowań, zastosowanych do słabości człowieka. Tym sposobem, przeprowadza ona nas do ukochania siebie samego, do uczuć rodzinnych, od przywiązania do rodziny, do miłości kraju, od niéj zaś, do ukochania całéj ludzkości.

Po nad wszystkiemi przecież wyżéj wzwiankowanemi uczuciami, jako ich szczyt i niejako dopełnienie ostateczne, góruje uczucie Religijne.

Jakiebądź by sobie wyrobił człowiek pojęcie o wartości własnego jestestwa, kiedy się przymierzy do innych istot w przyrodzie, nie podobna mu uniknąć głębokiego upokorzenia. «Człowiek maleje w obec zastanowienia nad sobą,» powiedział wymownie jeden z Ojców Kościoła. Cóż bo jest to jego jestestwo? Wiekuisty upływ, coś, co umiera bez końca, cóś, co (według wyrażenia Fenelona), topnieje w ręku za lada dotknięciem. Gdzie się podziało to czem byłem? gdzie się znajduje w téj chwili to, czém będę? Istność moja co chwila chowa się w nicość, i co chwila z niéj wychodzi. Nie jestem w możności powstrzymać ani cząsteczki tego, co ze mnie bez przestanku ubywa. Nie jestem w stanie dodać sobie ani cienia trwałości. I nawet, w chwili obecnéj, czuję, że jeszcze i to czém jestem, zawdzięczam jedynie Łasce pewnéj, niepojętéj potęgi, która równie łatwo może mię w niwecz obrócić, jak łatwo stworzyła.

Otóż, z tego to uznania naszéj nicości, rodzi się Religijne uczucie. Człowiek widząc się tyle słabym, instynktowo przyzywa na pomoc potęgi wyższéj. Czy potęga ta (jak było w piérwszych wiekach) jest ślepą siłą natury, lub zbiorowiskiem najgrubszych fetyszów, czy téż (jak bywa udziałem epoki pewnéj dojrzałości ducha), człowiek pochyla czoło w obec idei przedoskonałego, nieprzystępnego zmysłom Boga; w obu razach, źródło uczucia jest jedno. «Strach jedynie stworzył Boga,» powiedział to niegdyś poeta pewien, sądząc że tym sposobem zadaje stanowczy cios Religjom. Z tém wszystkiém, miał słuszność; istotnie bowiem słowo to wytłómaczyć się da w sposób wielce wzniosły i to prawdziwie Religijny. Tak jest, strach to, obawa próżni, opuszczenia, nicości, podczas kiedy człowiek pozostawiony własnym siłom czuje się widocznie zagrożonym zgubą, skłania go przeczuciowo szukać w około siebie, po nad sobą, środka oparcia, niewzruszonéj posady.

Jednocześnie przecież, pociąga go tam jeszcze nieprzeparta niczém skłonność. Boć nie co innego jak właśnie urok nieskończoności popycha mędrca przedzierać się ciernistym manowcem wywodów, dopóki się nie dobierze prawdy; nie co innego skłania muzyka, malarza, poetę, godzić z sobą dźwięki, barwy i formy, dopóki im nie wyrażą piękności jakiéj żaden z nich nigdy widzieć niemógł; nie co też innego zapala w człowieku żądzę udoskonalenia, ażeby się choć na krok jeden zbliżyć mógł do idealnego wzoru; nie co innego wreszcie w najpierwotniejszéj swojéj formie zmusza człowieka instynktowo skłaniać czoło w obec myśli o nieograniczonéj i przeto godnéj uczczenia potędze. Serce niepokojone nieustannie pozornym nieładem spraw tego świata, oraz chwianiem się zasad sprawiedliwości, zasmucane srogiemi próbami których powodu dojść nie może, jedyne zaufanie i ubezpieczenie znajduje dopiéro w wierze w doskonałą sprawiedliwość, która nie może mieć rozkoszy w dręczeniu bez przyczyny ułomnych z natury istot. W trudach i kłopotach, nieprzeparte to przeczucie, skłania nas zgiąć kolana przed niewysłowioną jéj potęgą; w upadku naszym, błagać jéj przebaczenia; w niepewnościach podpory, w rozpaczy Boskich jéj pociech.

Nie wchodzi w zakres naszéj rozprawy, wykazywać całą potęgę bojaźni Bożéj; właściwie radzić się w tym względzie należy pism Ojców Kościoła, oraz Mistrzów Mistycyzmu. Tam to, w całym swoim uroku, ujrzéć można wierny obraz uszczęśliwienia dusz pobożnych i świętych uciech extatycznego życia. Piérwsze miejsce trzymają tu pisma Świętéj Teresy i księgi o Naśladowaniu Chrystusa. Ktoby zaś znajdował w nich nazbyt mało męzkiego ducha, niech weźmie po prostu dzieła Świętego Franciszka Salezyjskiego, a jeszcze lepiéj, bo sięgając już źródła samego, psalmy Dawida, najwspanialsze w świecie głosy duszy, jakie kiedykolwiek natchnąć zdołała głęboka wiara, żal i miłość. Szczęśliwi ci, którzy płonęli podobnie świętym ogniem, i których uniesienia nie zmroziły lodowate powiewy niewiary naszego wieku! Szczęśliwe czasy, w których podobne uczucia przenikały mniéj lub więcéj wszystkie dusze, i gdzie każdy bez wyjątku znajdował u stopni ołtarza uspokojenie i zadowolenie serca, jakiego dać nie jest zdolne żadne dobro tego świata! Niestety! w miarę jak się ludzkość rozrasta, więzy łączące ją ze Stwórcą, zdają się rozwalniać coraz luźniéj.»

Tak więc bojaźń Boża, tak więc uczucie religijne, góruje ponad wszystkiemi innemi. Nie chcemy jednak rozumiéć przez to, żeby je wyłączać miało. Owszem, Ten który tyle wybornych usposobień pozasadzał w naszych sercach, chce bez wątpienia, żebyśmy je pielęgnowali. Nie po to nas niémi obdarzył, aby nas zmuszać do wyrzekania się ich na rzecz siebie samego. Przeciwnie pozwala nam nawet kochać wszystkie Swoje stworzenia; już przez to samo że

każde z nich jest objawem Jego dobroci. Co większa, nie każe nam nawet kochać je dla Niego jedynie, gdyż kochać kogo z powodu kogoś drugiego, byłoby nie kochać go wcale. Nie, Bóg prawdziwy nie jest bynajmniéj zazdrośnym Bogiem; nie zniża się On do tego, żeby być współzawodnikiem własnych stworzeń; nie żąda On ażeby kochano Jego tylko, nie róbcież go tedy samolubnym Ojcem, któryby uważał za ujmę obowiązków synowskich przyjaźne stusunki swego dziecka. Przeciwnie, dobry ojciec, rad jest widzieć że syn jego ma przyjaciół; wié on bowiem, że uczucia podtrzymują się wzajemnie i pociągają jedne drugie; inaczéj wszystko w niwecz idzie. Ten kto myśli że poświęcił Bogu przywiązanie do swojéj rodziny, do przyjaciół i bliźnich, najczęściéj robi tę ofiarę sobie samemu; a opróżnione to serce które przynosi Bogu, wzdęte jest pychą i samolubstwem. Miłość tedy współstworzeń Boskich nie jest żadną miarą wypływem natury zepsutéj; przeciwnie, znak to natury dobréj i zdrowéj. W niczém się ona nie sprzeciwia bojaźni Bożéj, która jest najszlachetniejszą i najpotężniejszą w świecie miłością, owszem wprost ku niéj prowadzi, ucząc nas bowiem kochać to co nam jest równe, usposabia coraz więcéj do miłości tego co nas przewyższa, co nas gnie w proch swoim ogromem, co jest przedzielone od nas nieskończonością, a tém jest: największe i niewzruszone piękno.

Kiedy się zastanowimy ostatecznie nad stosunkiem popędów serca do tego cośmy zwykli nazywać szczęściem na ziemi, wyznać przyjdzie, że serce, czułość, czy jakbądź nazwiemy to usposobienie do dzielenia się sobą, jest źródłem równie najczystszych i najwybrańszych uciech, jak i cierpień wielce dolegliwych. Co to za szczęśliwi ludzie ci egoiści, zdarza się słyszéć niekiedy, nic nie zamąca spokoju ich serc; ponieważ nikt ich nie obchodzi, niczyje tedy cierpienia nie sprawiają im przykrości, i tym sposobem duszom ich wielce jest lekko; większa bowiem część naszych dolegliwości przychodzi nam przez pośrednictwo drugich, i ztąd rozszerzając sobie serce dobrowolnie nabawia się człowiek boleści. A przecież, dla czegóż podobnéj filozofii nie lubimy spotykać u nikogo z tych, których kochamy? Przecieżbyśmy się cieszyli z nim razem tém wspólném jego dobrem, gdyby to dobrem być miało. Tymczasem, wcale przeciwnie, litujemy się tylko nad samolubem, i za nic w świecie nie życzylibyśmy sobie jego usposobienia, dla nikogo z tych co nas bliżéj obchodzą, a tém bardziéj dla siebie samych. I nie samych to przecie uciech serca żal nam stawiając się w jego położeniu, bo istotnie któż zaręczyć zdoła, czyby ich nie zrównoważyły, może nawet nie zagłuszyły, cierpienia? Nie, tylko ze wszystkich przymiotów serca, cóż nas najwięcéj ku niemu pociąga?— oto serce samo. Oto ta piękność i szlachetność duszy zaprzątniętéj raczéj dobrem bliźniego jak swojém, oto ta niezwykła wielkość wspaniałéj dobroci.

Niektórzy są tego zdania: czułość nie jest godną umysłu męzkiego, robiąc go niezdolnym do silnych postanowień, i nabawiając usposobienia miękkiego i zniewieściałego. Wszakże jeżeli jest prawdą: że czułość nie powinna wyłącznie wypełniać duszy męża; niemniéj przecie nikt nie zaprzeczy: że bez niéj siła byłaby tylko srogością i dzikim popędem. Nic łatwiejszego jak być silnym nie mając w sobie zresztą nic ludzkiego; ale siła w połączeniu z wyborem przymiotów serca, to dopiéro ostateczne męzkie udoskonalenie.

Z tém wszystkiém, mężczyzna pozostanie zawsze uczniem w przedmiocie niektórych odcieni uczuć, gdyż właściwy tryumf na tém polu, należy się bez zaprzeczenia kobiécie. Nawet nie przesadzając jéj moralnego znaczenia, nawet nie robiąc z niéj bezwzględnego anioła (czemu nieraz niestety zaprzecza doświadczenie!), przyznać musimy, że przedewszystkiem powołaniem kobiéty jest kochać i być kochaną. Godzi się nawet powiedziéć: że tylko za jéj wpływem czułość i słodycz rozbudza się w męzkich sercach; bo przecież ona to w początkowém wychowaniu miękczy je miłością, naginając do zasad poświęcenia. Nie inna jest chwała kobiéty, jak działać dobrocią i dawać przykłady jéj zastosowania, jak zabliźniać rany życia, jak pocieszać, zachęcać, przebaczać. A przecież nie zawsze tak bywa, i często pod najbardziéj uwodzącemi pozorami ukrywa się chroniczne wyschnięcie serca! Nic smutniejszego nad podobny stan moralny. U mężczyzny bowiem, brak serca w części zastąpić może stałość charakteru i wielkość duszy; ale u kobiéty, najczęściéj z ubóstwem serca łączy się i ubóstwo w duchu.

Widocznie tedy, na to, żeby mieć życie odpowiadające wszelkim warunkom równie moralnego zdrowia jak i szczęścia, potrzeba koniecznie stosownego połączenia rozumu z uczuciem, i to w ten sposób, że u mężczyzny uczucie powinno łagodzić rozum, w kobiécie zaś, ten ostatni poskramiać uczucia. Nigdy zaś nie mają oszukiwać się wzajemnie, a zdarza się to nader często ze strony rozumu, który puściwszy się drogą kunsztownych wywodów, a nieraz nawet manowcem sofizmatu, doprowadza serce do stwardnienia a nawet wystąpienia wbrew sobie. Tak jest, najlepsze nieraz, najszlachetniejsze, najwłaściwsze nasze popędy, wydają się nam naganną słabością. I jakże często wstyd nam być dobremi! Jakże często wydaje się nam cechą wyższości, wyrobić w sobie obojętność i zimny pogląd na rzeczy tego świata! Szczęśliwy, kogo w tém sztucznem zasklepieniu ducha nie przyjdzie zbudzić piorun ręki Pańskiéj, rozbijając mu

w szczęty to serce, które tak pracowicie zahartował, niby na każdy możebny wypadek.

---

* * *

W roku zeszłym w Listopadzie pani Ester Sezzi miała publiczny odczyt w Paryżu o biédnych kobiétach i potępiając w nich zbyt emancypacyjne zachciewki, wymownie dowodziła konieczności zapewnienia niazależnego bytu, przez stosowne praktyczne wykształcenie. Jest to piérwsza z dam paryzkich co się odważyła na podobne wystąpienie: powodzenie było zupełne, ale pewny jestem, że w dowodzeniu pani Sezzi, pominięty został jeden odcień biédy kobiécéj wyrastający czasami w ładnych i młodych główkach panieńskich choć nie mających zupełnie powodu użalania się na troski codziennego życia.

Jest to biéda z powodu braku zegarka, nowéj sukienki, modnego kapelusika, świéżych zawsze rękawiczek, chustki koronkowéj, jakiego eleganckiego ubiorku co ni grzeje ni ziębi, a szczególniéj wrzawy światowéj otwierającéj pole do popisu i marnowania drogiego zawsze czasu. Wprawdzie biorąc rzeczy po ludzku, ubiérać się ładnie rzecz miła i pożądana, ściągnąć na wdzięk i młodość licznych oczów uwielbienie, rzecz ponętna i w pewnych granicach nawet potrzebna, ale płakać, narzekać, męczyć siebie i drugich, rozwodzić żale na niemożność znajdowania się w podobnych warunkach, jest śmieszném, nierozsądném a nawet bolesném. Owocem tego zawsze bywa *nuda*, która w twarde swe kleszcze ujmując serce i myśl młodéj dzieweczki, robi ją na wszystko niechętną, niezadowoloną, zadąsaną, wzdychającą, narzekającą, cichaczem popłakującą, a wreszcie.... pełną grymasów i grymasików, przemieniających panienkę jakby w sztabę rozpalonego żelaza, do którego bez bólu i syku nawet na chwilkę przystąpić nie można. Ponieważ rysy twarzy, przybierają zawsze formy, wewnętrznego usposobienia, i często w jednym kierunku drażnione, wrastają zatrzymując wszystkie cechy głównéj myśli panującéj w sercu i duszy ludzkiéj, więc i u nudzącéj się panienki popłakującéj i narzekającéj, buzia wolnéj ale przykréj ulega zmianie. Fałduje się czoło, oko w głąb usuwa, występują małe zmarszczki, różowa lic powłoka kurczy się okrywając plamkami wypieczonych rumieńców, słowem na buzię przedtem miłą, wabną samą niewinnością młodego wieku, występują oznaki wewnętrznych dąsów, i z dziewicy aniołka, z owego najpiękniejszego kwiatka na ziemi, zrywając po listku zostawiają w końcu suchą łodygę, wstrętną dla najobojętniejszego oka. Jest to drugi owoc *nudy*, przeciw któréj jedynem lekarstwem.... *praca*, zajęcie się czynne, zaprzątające umysł, utrudzające fizyczną budowę, i utrzymujące lubiącą brykać imaginacją w umiarkowanéj sferze wysokości, dość dalekiéj od pyłu ziemi i od palących promieni słońca.

Praca nadaje twarzy wyraz myślący: swoboda odpoczynku oznaki zadowolenia, a rozkosz zabawy po pracy jedynie miłéj i właściwie cenionéj, ożywia oczy blaskiem zdobiąc lica i usta uśmiechem niezwykłego wesela. Słowem u panienki nawet nieładnéj, praca i natężenie myśli nie we fraszkach ale w pożytecznem zatrudnieniu, twarz ozdabia i uszlachetnia i nawet brzydocie nadaje cóś tak ponętnego i pociągającego, że niszcząc jéj wrażenie, przemienia w ujmujący wdzięk, któremu rzadko serce męzkie oprzeć się potrafi. Jeżeli jeszcze do tych szlachetnych oznak z pracy ducha wypływających, przyjdzie w pomoc natura, i na ładnéj buzi zabłysną powaby serca o jakich wyżéj mówiłem, to wówczas dziewica prawdziwym staje się aniołkiem, zabłąkanym z nieba na ziemi, aby z czasem zostać świętą niewiastą, łagodzącą rany ciernistego żywota.

Ale jakaż to ma być owa praca, zapytacie zapewne tetrycznego Janka z Bielca, godna panienki z wykształceniem, a mająca nie tylko uspokoić serce, ale i obdarzyć nie z użytym wdziękiem tak ponętnym i pożądanym?

Na téj zacne moje czytelniczki:

Czy na wsi, czy w mieście,
Nie braknie nigdy niewieście.

Kraj nasz wcale nie kwitnący, przemysł wiejski ubogi, lud ciemny, a ogrodownictwo, pszczolnictwo, rybołóstwo, obory z krowami, w zupełném zaniedbaniu. Praca szczera i usilna w celu podniesienia tych ważnych gałęzi gospodarstwa wiejskiego, da Wam tyle zajęcia, tak zabierze wszystek czas dotąd najczęściéj marnowany, że ani chwilki wolnéj nie zostanie, na nudy i lamenta, i na owe pokątne wzdychania kończące się najczęściéj łzami. Gdy więc ojcowie Wasi i bracia, mozolą się nad rolą, matki krzątają się w domowym zarządzie, Wy sadźcie owocowe drzewka, uprawiajcie warzywa, pomnażajcie pszczoły, powiększajcie mleczność krów, urządzajcie rybołówstwo, nauką rozpraszajcie ciemności, a mnożąc tym sposobem bogactwo krajowe staniecie się opatrznością ciemnych, pomocą trudów rodzicielskich, i pięknemi ciałem i duszą, wdziękiem moralnéj wartości.

Jak zaś pracować, jak rozwijać się we wskazanym przeze mnie kierunku, nauczą Was dzieła w które nie skąpą jest nasza literatura. Nie zapominajcie tylko, że każda praca bez żadnego wyjątku jest zacną i szlachetną a próżniactwo szkodliwe i hańbiące: że początki we wszystkiém są trudne i mozolne, ale silne postanowienie, chęć dobra, myśl poczciwa, przełamuje

wszystko, i w spełnionym czynie daje taką rozkosz, jakiéj nie zastąpi żadna światowa uciecha. Sprobujcie, weźcie się do wykonania rzuconéj myśli, a zaręczam że drzewko Waszązasadzone i zaszczepione ręką, piérwszy raz okryte kwiatem, więcéj Was ucieszy jak najmodniejsza i najbogatsza sukienka: brzęk rojów pszczolnych Waszą rozmnożonych pracą, milszym będzie nad wrzawę najsutszéj zabawy; piérwszy karasek wyciągnięty z urządzonéj przez Was sadzawki, piérwsza poziomka lub truskawka Waszą wyhodowane ręką, smaczniejszemi będą nad najwyszukańsze delikatesy; piérwszy grosz zyskany na powiększonéj mleczności krów, zdawać się będzie nową odkrytą kopalnią złota, a piérwszy odblask światła rzuconego w umysł ciemny, da Wam taką pociechę co wystarczy na otarcie wielu łez złością ludzką wyronionych. Praca bowiem cuda tworzy, i w cudownéj swéj potędze jest jak słońce, ziemi nadające światło a duszy ludzkiéj wesele.

Znacie piękność dnia wiosennego barwiącego się kwieciem i zielenią, i ożywionego chórem śpiewu skrzydlatéj rzeszy? Otóż z pracą zawrzyjcie sojusz, weźcie się do zajęć powyżéj wskazanych, ale nie byle zbyć, tylko z konieczną myślą wydobycia nowego źródła dochodu, a do serca w gościnę wprowadzicie wieczną wiosnę, która Wam wiecznie brzmiéć będzie pieśniąradości. Nuda zaś, grymasy, achy, fochy i echy pójdą w świat za bory i lasy i dziwić się będzieciejak mogły kiedyś między Wami zamieszkać. Kobiét przeznaczenie iść drogą dobra i piękna, czyż się zaprzecie swego posłannictwa?

Nowości literackie.

Gwiazdka czyli kolenda na rok 1865. Książka zbiorowa illustrowana wydana nakładem księgarni polskiéj A. Dzwonkowskiego. Jest to książeczka stanowić mogąca bardzo ładny podarek noworoczny. Staranność w wyborze artykułów widoczna a obok poczynających pisarzy, znajdują się prace takich autorów jak: Pol, Odyniec, Wójcicki, Syrokomla, Lenartowicz, Jachowicz, Bartoszewicz i Marja Ilnicka. Pomiędzy poezjami pomieszczono Pieśń na nowy rok Jana Kochanowskiego i wiersz do wiosny Elżbiety Drużbackiéj, czego zupełnie nie ganiemy, bo tym sposobem, znajomość wyborowych naszych pisarzy z dawniejszych czasów, upowszechnia się pomiędzy znaczną liczbą młodych czytelników, jaką bez wątpienia Gwiazdka liczy. Szczegółowo wszystkich artykułów rozbierać nie podobna, żadnemu nie brakuje pewnego zajęcia, ale najwięcéj życia i humoru rozwinął p. A. W. w opisie owéj podróży w Górach, a najwięcéj serdeczności p. Zofja Porębska w artykule p. t. Dzień piérwszy Września. W piérwszym występuj młodzież, z całą swawolą i zapałem poetycznym młodzieńczego wieku, w drugim rozwinięte jest wrażenie dziewczynki, przechodzącéj pod dozór młodéj swéj nauczycielki. W klechdzie norwegskiéj *Jakie to czasem bywają kobiéty*, pomimo obarykadowania się p. A. D. przed surową krytyką różnemi sentencjami i przypowieściami, nie znaleźliśmy, ani przyrzeczonéj zabawy, ani nic takiego coby usprawiedliwiało jéj publikacją. Gdyby Klechdę tę cechował miejscowy charakter ludu, gdyby barwiła się kwieciem poetycznego słowa, lub szczególną moralność miała na celu, nic byśmy nie mieli przeciw jéj ogłoszeniu, ale jest to po prostu bajda w dowcipie nudna, a w pomyśle nawet ckliwa. W drukowaniu podobnych rzeczy nie widziémy żadnéj korzyści, a tymbardziéj w przyozdabianiu ich aż dwoma rycinami. Wielka to jednak pochwała dla Gwiazdki, że tylko ten jeden z niéj artykuł, uległ słusznéj naganie.

WYJĄTEK Z ROCZNICY URODZIN

PRZEZ

FONTAN'A.

Starość się zbliża niosąc cierpienia,
Przyszłość mi daje zwodne nadzieje,
Przeszłość wskazuje błędy jak cienia,
Człowieka takie losów koleje.
Uczy się z wiekiem, a czas upływa,
Na cóż mu mądrość? gdy śmierć przybywa.

Przeszłość i przyszłość, wszystko mnie osmuca,
Życie przy schyłku mało ma uroku,
Blade promienie, bez wdzięku rozrzuca.
Tak gasną blaski w wieczornym pomroku.
Szczęście! idź szukać wiosny, kwiatów róży,
Zostaw mnie z smutkiem, nie urągaj dłużéj!

Liljana.

Korrespondencja z Paryża.

Paryż dnia 6 Stycznia 1865 r.

Na parę tygodni przed nowym rokiem cały Paryż, zajęty noworoczną kolendą. Okna sklepów przystrajają się w zbytki wszelkiego rodzaju. Na bulwarach stawiają rzędem budy, w których sprzedają miljony zabawek dziecinnych. Cukiernicy przygotowują najpiękniejsze pudełka z cukierkami, których przepych przechodzi wszelkie granice. Wspomniémy tu tylko o sławnym *Siraudin*, który między innemi wykonał na obstalunek, pudło niebieskie aksamitne opięte

w koło festonami z najpiękniejszéj koronki, podtrzymywanéj bukietami z róż. Owa koronka szacowana 12,000 franków, może służyć, równie jak róże do przybrania sukni balowéj. Tak to dzisiejsze bogacze wymyślili sposób ofiarowania paniom strojów, którychby inaczéj przyzwoitość przyjąć nie pozwalała. Wszyskie Paryżanki schodzą się do Siraudina, podziwiając ten nowy cud świata, a może i zazdroszcząc w duchu szczęśliwéj, dla któréj upominek przeznaczony.

Ale dosyć już o tém, czego nikt u nas naśladować nie będzie i nie powinien. Porzućmy więc kolendę, a wróćmy do zwykłego sprawozdania.

Od kilku dni z powodu wielkiego jak na Paryż mrozu, nie przechodzącego jednak siedmiu centygradów, to jest czterech czy pięciu stopni Reaumura, ukazały się na ulicy okrywki obłożone futrem. Są to po większéj części aksamitne paletoty średniéj długości z kołnierzem tumakowym lub nurkowym, albo też granatowe z ciepłéj tkaniny wełnianéj, obszyte krymskiemi barankami. Te ostatnie stały się w tym roku panującą modą. Niektóre z nich po za obszyciem z baranka, mają przody szamerowane pletnią, spięte na pętlice i wielkie guzy hebanowe albo szmuklerskie. Wszystkie w ogólności wpadają mniéj więcéj do figury. Plecy u nich gładkie, od stanu idą dwa wielkie wpuszczone fałdy przytwierdzone dwoma guzikami. Po bokach ku tyłowi naszyty wzdłuż baranek oznacza kieszenie, jak na tołubkach naszych kobiét wiejskich. Rękawy bywają dosyć obcisłe obszyte u ręki barankiem, odwróconym do łokcia. Na ramieniu, dopełnia całości, epolet barankowy, lub takiż pas otaczający w koło pachy. Kołnierz do tego bywa barankowy średniéj wielkości, i takiż manszonik.

W ogóle moda baranków krymskich, utrzymuje się z wielkiém powodzeniem. Komu ta moda wydaje się zbyt kosztowną, może ją zastąpić wyborną tkaniną wełnianą naśladującą skórkę baranka. Wyrób ten doprowadzono w tym roku do wielkiéj doskonałości, tak że na piérwszy rzut oka niepodobna dostrzedz różnicy, między udanym a prawdziwym zwierzątkiem.

Uważaliśmy także na ulicy, suknie popielate korcikowe, obszyte u dołu pasem czarnego baranka szerokim na trzy palce. Do tego szedł takiż sam paletocik, przybrany odpowiednio do koła, równie jak na kieszeniach, mankietach i naramiennikach.

Kapelusze nawet czarne aksamitne, przybierają w koło ronda barankiem, naturalnie że kapelusze te służą tylko na rano do negliżowego ubrania.

Między innemi wpadła nam w oko suknia czarna, *drap de Lyon*, z kaftanikiem oznaczonym paskiem z czarnego baranka. Po bokach na spódnicy szły kieszonki z wyłożonemi klapkami barankowemi. Mankiety u rękawów i naramienniki, były też odpowiednie.

Oprócz manszoników futrzanych, bardzo używane w tym roku aksamitne, obłożone po bokach futrem, lub wełniane zastosowane do paletota, obszyte barankami. Manszoniki te zowią się polskiemi gdyż Marja Leszczyńska przywiozła kiedyś ich wzór z Polski do Paryża.

Kapturki zimowe w tym roku, mają wszystkie jeden kształt zastosowany do układu włosów. Zachodzą one mocno w ząb na czoło, ku tyłowi są obszerne, aby pomieścić koki, od szyi zaś kończą się dosyć obszerną pelerynką, osłaniającą piersi i ramiona. Strojniejsze z nich robią atłasowe pikowane w maszynie obłożone puszkiem łabędzim. Skromniejsze zaś kaszmirowe w różnych kolorach podwatowane i podbite marseliną ogarnirowane do koła ruszą z kaszmiru strzyżonego w maszynie. Wiele też widać podobnych kapturków, robionych z włóczki na drutach. Te ostatnie obszywają też niekiedy puszkiem łabędzim.

Kiedy mróz nie dokucza zbytecznie, Paryżanki miejsce kaptura zastępują kwadratową chusteczką trykotową, mającą łokieć, pół długości i tyleż szerokości. Chusteczka taka złożona na krzyż kładzie się na głowę, potém róg jeden odwija się na przód w sposób aby spadał na czoło i lekko przysłaniał nioby. Chusteczki takie robią same panie na rozmaity sposób, na drutach lub szydełkiem. W koło garnirują je niekiedy siatką włóczkową w fałdki.

O UBIORACH.

Przy teraźniejszéj długości i szerokości sukien garnirunek u dołu do sukien lżejszych jak np. z bareżu mozambique, linonu i t. d. uważają za potrzebny, aby zapełnić ogromne rozmiary; suknie jednakże kosztowniejsze jedwabne, robią powszechnie bez garnirunku, obejmując je tylko grubym u dołu sznurem. Czasami sznur ten spleciony w troje, tworzy grubą pletnię. Widzieliśmy w tych czasach piękną suknię popielatą wełnianą, nakrapianą w czarne jedwabne punkciki (*sablé*). U dołu naszyta była trzy razy pletnią czarną, przerabianą paciorkami, tworzącą na każdym brycie jeden feston. W miejscach gdzie się łączyły owe trzy rzędy pletni, naszyta była z niéj kokarda, od któréj spadały trzy kwasty. Stanik spięty był na guziki czarne szmuklerskie z lawą, na ramieniu i u dołu rękawa dane były podobne kokardy zakończone kwastami.

Widzimy też wiele sukien wełnianych, przybranych szlaczkiem perskim, rozmaitéj szerokości. Szlaczek

ten zowie się *galonem kaszmirowym.* Zwróciła uwagę naszą taka suknia koloru ciemno havanna, zakończona u dołu falbanką, nad którą dane były trzy rzędy szerokiego na palec galoniku. Stanik z tyłu zachodził po szyję, z przodu zupełnie był otwarty, i przedłużony u dołu kwadratowemi klapami, które wychodziły poniżéj pasa, obszyte do koła galonem. Na tych klapach naszyte były małe kieszonki. Rękawy wązkie ścięte do łokcia, bez wyłożenia ani epoletu, kończyły się u ręki jednym rzędem galonika.

Staniki z otwartemi przodami zaczynają się coraz bardziéj upowszechniać; pod spód służą szmizetki muszlinowe lub półbatystowe, całe układane w zakładki z maleńkim kołnierzykiem. Baskiny w formie fraka tak używane w lecie przybierają dziś kształt mniéj przesadzony i nierównie właściwszy. Przypominają one staniki francuzkie, w rodzaju obcisłych kaftanów, jakie noszono przed kilku laty. Między innemi uważaliśmy baskiny złożone z pięciu wielkich zębów, spadające w koło stanika na spódnicę. Baskina taka często przepasana bywa w stanie szerokim pasem spiętym na wielką klamrę.

Kapelusze tegoroczne nadzwyczaj małe, tworzą, jakby rogową chusteczkę na głowie. Niektóre z nich przybierają piórkami pawiemi i bażanciemi. Wszystkie ciemne tak aksamitne jak atłasowe naszywają paciorkami z lawy; białe zaś przeszywają białą sieczką. Na kwiatach używanych do podpięcia kapeluszy widać za zwyczaj krople rosy, pięknie odbijające przy świetle. Uważaliśmy też wiele kwiatów, zwłaszcza białych, pokrytych lśniącym szronem. Szarfy do wiązania, dają aksamitne, atłasowe lub mantynowe.

W magazynie pani Kwiatkowskiéj z pomiędzy najświéższych ubiorków na głowę, podobały nam się najwięcéj woaliki koronkowe, lub z tiulu jedwabnego zwane: *Marie Antoinette.* Woaliki te zakończone w ząb po nad czołem, i przytwierdzone w tem miejscu wielką kokardą aksamitną, spadają zaokrąglone na warkocz, pokrywając go zupełnie. Po obu stronach kokardy dany jest przy twarzy garnirunek z podwójnego skośnego aksamitu. Robią je z koronki brukselskiéj i z gipiury Irlandzkiéj, te ostatnie najwięcéj używane. Woaliki takie z tiulu jedwabnego, mają w koło obręb wstążką nawleczony, brzegi zaś ogarnirowane są blondynką. Zasługują także na uwagę ubiorki aksamitne *à la Marie Stuart* przybrane perłami lawowemi i kwiatem aksamitnym przypiętym z boku.

Młode osoby powszechnie ubierają głowę fantastycznie, wpinając podług upodobania motyla aksamitnego, liście ze świecącemi robaczkami lub pęczek aksamitnych kwiatów pomięszanych z koronką, perłami lawowemi i aksamitką. Ładne też są ubiorki w kształcie pół wieńca z kwiatem aksamitnym na boku po złp. 33 gr. 10. Widzieliśmy w tymże magazynie rotondy z koronki wełnianéj *lama* białe i czarne niezmiernie delikatnie odrobione, jak również wielki wybór mantyl i okryć aksamitnych przybranych gipiurą do strojnego ubrania.

Kołnierzyki małe utrzymują się ciągle. Uważaliśmy nowy rodzaj, złożony z prostéj listewki pokrytéj aksamitką, na którą wykładą się gładka walansienka. Z przodu idą dwa koniuszczki aksamitne w kształcie liści, obszyte w koło stosowną koroneczką, i przepięte broszką.

Nowości Zagraniczne.

Le follet. Kaftaniki i kamizelki z gładkiéj flaneli kolorowéj z długim włosem powszechnie na codzień używane, obszywają je po prostu czarną pletnią lub aksamitką; spinają się na czarne kwadratowe guziki z lawy, niekiedy wielkich rozmiarów.

Paletociki popielate, naśladujące skórkę baranka dość się upowszechniły na ulicy. Noszą je także fijołkowe i szafirowe nakrapiane biało. Wolemy jednak popielate, gdyż to więcéj zbliżone do natury. Najczęściéj jednak widziéć można paletoty sukienne lub *velours de laine,* w kolorze ciemno granatowym, a niekiedy stalowym. Niektóre z nich wycinają do koła w zęby, obszyte sznurem z pasmanterji, lub też jedwabną pletnią.

Na szlafroczki ranne watowane, używają bardzo fularu w palmy lub też w pasy tureckie. Krój tych szlafroczków bywa kulisty, nie odcinany w pasie, wolno przystający do figury.

Z pomiędzy świéżych sukien, zwróciła uwagę naszą zielona jedwabna, wycięta u dołu w śpiczaste zęby dosyć wielkie. Zęby te obszyte były brzegiem koroneczką czarną, każdy z nich zakończony czarnym kwaścikiem. Z pod spodu wychodziła fałdowana falbanka zielona. Stanik z oznaczonym kaftanikiem i kamizeleczką zakończony był takiemiż zębami bez falbanki.

Krynoliny zwane *Cage Tompson* coraz to większéj nabierają wziętości. Są to klatki złożone z cienkich pręcików stalowych dawanych bardzo gęsto. U dołu okładają je białym perkalem.

Kapelusze tegoroczne mają wszystkie kształt chusteczek rogowych czyli fanszoników dla tego to zowią je po prostu fanszonikami. Z pomiędzy najświeższych przytaczamy jeden czarny aksamitny przybrany z boku długiem piórem. Od ronda spada koronka szeroka na trzy palce, przysłaniająca podpięcie z aksamitnych kwiatów boki nagarnirowane białą blondynką. Szarfy

aksamitne fijołkowe. Z tyłu spada karonka czarna, z pod niéj wychodzą pukle z fijołkowéj aksamitki.

Drugi kapelusz atłasowy *gris de lin* naciągany w podłuż, i przepinany rulonami z czarnego aksamitu. Z tyłu spada siatka z wązkiéj aksamitki, przeszywana perłami przeznaczona na pomieszczenie włosów. Podpięcie składa się z illuzji, przepinanéj perłami od ronda spada biała blondyna na trzy palce. Szarfy atłasowe dopełniają całości.

Suknie wycięte do strojnego ubrania robią teraz zapinane z przodu na guziki. Paski z baskiną i długiemi szarfami stanowią główną ich ozdobę. Do najpiękniejszych liczemy szarfy koronkowe czarne.

Z pomiędzy czepków podobają się powszechnie kwadraciki koronkowe czarne naszywane sieczką, obszyte w koło koronką z takimże samym naszyciem. Kładą je na głowę w sposób, że jeden róg spada na czoło, drugi na warkocz, dwa inne po bokach. Kokarda aksamitna nad czołem wyszyta lawą, stanowi główne ich przystrojenie.

Do większego stroju, robią takie kwadraciki z białego tiulu jedwabnego, naszyte białą sieczką.

Co do biżuterji powiemy tylko że kolczyki ogromnéj wielkości, lubo należą dziś do najmodniejszych, nie odznaczają się wcale dobrym gustem, dla tego nie zalecamy paniom trzymać się téj przesadnéj mody.

Opis ryciny.

Figura 1. Suknia *poult de soie* popielata przybrana u dołu dwoma rzędami pukielków z aksamitki fijołkowéj, przytwierdzonych plisą aksamitną. Stanik gładki do paska. Rękawy obcisłe. Rotonda aksamitna ogarnirowana wolantem koronkowym. Kapelusz aksamitny fijołkowy z białemi piórami. Szarfy atłasowe.

Figura 2. Suknia czarna jedwabna w paski atłasowe. U dołu spódnicy dwie falbanki mantynowe, układane w fałdki, objęte aksamitką, i naszyte w festony. Na staniku kaftanik oznaczony falbanką, może też być i luźny kaftanik. Rękawy ścięte do łoficia, otwarte i zaokrąglone u ręki ogarnirowane odpowiednio. Koszulka muszlinowa, z żabocikiem koronkowym i kołnierzykiem z koroneczką u brzega. Rękawki pod spód nagarnirowane koronką. Pas szeroki spięty na złotą klamrę. Fanszonik koronkowy czarny, przybrany kwiatami i wstążką.

Figura 3. *Mały chłopczyk.* Majtki szerokie popielate przybrane guzikami. Takaż sama bluzka, obciśnięta w stanie paskiem skórzanym. Buciki kozłowe.

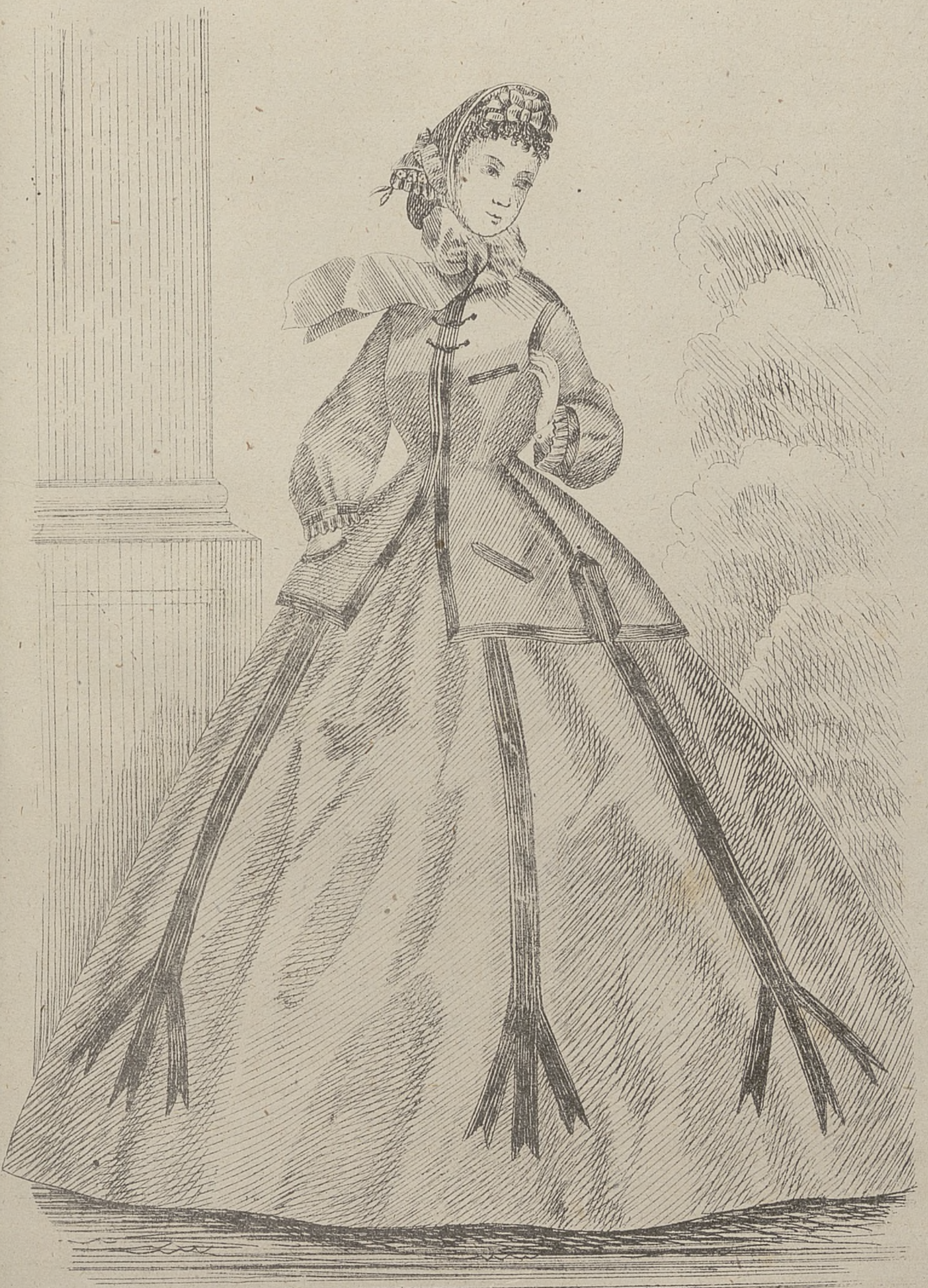


Pani Marji Doro. Za przesyłkę Tygodnika należy się nam złp. 2.—Pani Adeli Dobrzyń. Za komplet półroczny jeszcze nam przypada złp. 3 gr. 10. — Pani Bolesławie. Żelazko do pieczenia andrutów kosztuje złp. 10 i do wafli także 10 złp. Wałek drewniany do zwijania andrutów kupuje się osobno u tokarza. Para szorków angielskich czarnych kosztuje złp. 450 takież szory w drugim gatunku 425 jeszcze lżejsze złp. 350. — Pani Paulinie Korsa. Kalendarz ludowy zupełnie wyczerpnięty najtańszy kosztuje obecnie złp. 3 gr. 10.—Pani Wiśniew. Paulinie. Żądane sprawunki odeszły. — Pani Rokic. Za ufarbowanie chusteczki wraz z opłatą pocztową należy się Redakcji złp. 4 gr. 20.—Pani Emilji Gór. Pasek rypsowy z klamrą stalową kosztuje złp. 18.—Panu Władysławowi Rado. Za cztery chomonta zwyczajne krakowskie żądają złp. 450 za lakierowane z linkami złp. 600.— Panu Baranowi B. z Koszelówki. Do prenumeraty brakuje jeszcze złp. 5.— Panu Aleksandrowi Olen. złp. 733 gr. 10 odebraliśmy za tydzień sprawunki odejdą.—Pani K. Obu. Na prenumeratę pism odebraliśmy złp. 80 w Redakcji znajduje się złp. 8 gr. 15.—Pani Eleonorze Ra. Kaftanik flanelkowy w paski, mogący się nosić na dwie strony kosztuje złp. 93 gr. 10, Kamasze kortowe z guziczkami stalowemi w dobrym gatunku kosztować będą dla panienki 10cio letniéj złp 20, klamrę ze stali kameryzowanéj dostać można od złp. 15 do złp. 33 gr. 10 Łokieć wstążki rypsowéj na pasek płaci się od złp. 4 de 6 stosownie do szerokości. Pani Julji Wro. Prosiémy o przysłanie próbki włosów, bo inaczéj niepodobna dobrać żądanych przedmiotów.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina Paryzka.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.



Suknia czarna jedwabna z takimże paltocikiem naszyta aksamitem. Kapelusz biały włosieniowy naszyty paciorkami stalowemi, ubrany wstążką lilla.

Dodatek do Tygodnika Mód *).

Warszawa dnia 2 (14) Stycznia 1865 roku.

JAN BAUDRY

PRZEZ

AUGUSTA VACQUERIE.

OSOBY.

JAN BAUDRY.
OLIVIER, jego wychowaniec.
BRUEL.
GAGNEUX.
BARINTIN, stary sługa.
KOMISANT.
ADELA, córka pana BRUEL.
PANI GERVAIS, siostra pana BRUEL.
SŁUŻĄCA.

Piérwszy Akt odbywa się w Paryżu, trzy następne w Hawrze.

AKT I.

MAŁY SALON.

SCENA I.

PANI GERVAIS potém BRUEL.

PANI GERVAIS. (*trzymając motek włóczki*)

Adelo potrzymaj mi tę włóczkę.

ADELA (*kładąc robotę na stoliku*)

Dobrze Ciociu.

PANI GERVAIS.

Na czém by ją tu zwinąć. Poszukaj mi jakiéj karty.

ADELA. (*podając wizytowy bilet*)

Oto jest.

PANI GERVAIS.

Weź motek.

BRUEL. (*zaglądając przez drzwi.*)

Adelo!

ADELA.

Ojcze!

RBUEL.

Gdzie położyłaś moją kamizelkę?

ADELA.

Na twojém łóżku ojcze.

BRUEL.

Nie widzę jéj...

ADELA.

Zaraz ją podam. Przebacz ciociu wrócę za chwilę.

BRUEL. (*do pani Gervais*)

Czy nikt się o mnie nie pytał?

PANI GERVAIS.

Nikt.

BRUEL.

Nie przyszły listy z Hawru?

PANI GERVAIS.

Byłabym je oddała.

BRUEL.

Tyś taka roztrzepana pani siostro!

ADELA.

Choć ojcze (*pociąga go*).

PANI GERVAIS.

Ja roztrzepana! Gdzież podziałam kartę Adeli.

SŁUŻĄCA. (*wchodząc*)

Pani Biran przysyła z zapytaniem o zdrowie pani.

PANI GERVAIS.

Powiedz, że mi lepiéj. Pójdę sama podziękować za pamięć.

SŁUŻĄCA.

Zostawiono na dole kilka biletów wizytowych, przyniosę je pani.

PANI GERVAIS.

Daj je tu.

(*Służąca wychodzi*)

PANI GERVAIS. (*przeglądając bilety*)

Pani Romanet.—Pan Hervel.—Pani Bacier.—Pan Vincent. Kto to jest ten pan Vincent? Nie znam go wcale. (*Czyta* „Czekać będę u siebie do piérwszéj.“ Niech sobie czeka i cóż mnie to obchodzi? Zepewne jakaś pomyłka. Odeślę tę kartę na dół. (*Woła*) Adelo!

(*Adela wchodzi, za nią Bruel*).

ADELA.

Jestem ciociu.

(*) Dodatek ten powtórnie przedrukowany dodaje się dla nowych prenumeratorów, którzy początku dr amatu Jan Baudry nie czytali.

PANI GERVAIS.

Potrzymaj mi włóczkę. (*Adela bierze motek na ręce. Pani Gervais zwija włóczkę na bilet wizytowy pana Vincent*).

BRUEL. (*zbliżając się do zegaru*)

Czterdzieści minut na piérwszą.

PANI GERVAIS. (*do Bruela*)

Nie stłucz że mi tego wazonu.

BRUEL.

A więc nikt o mnie nie pytał?

PANI GERVAIS.

Już powiedziałam że nikt.

BRUEL.

Czy pewno?

PANI GERVAIS.

Pocóżbym miała taić.

BRUEL.

Rzecz niepojęta!... I ten list z Hawru nie nadchodzi. Czy odźwierny oddaje wszystkie listy.

PANI GERVAIS.

I cóżby z niemi robił. Stłuczesz mi wazon pewna jestem.

BRUEL.

Trzy kwandranse na piérwszą.

PANI GERVAIS. (*wskazując wazon na kominie*).

Powiadam ci, że do téj pamiątki, przywiązuję nie małą wartość.

BRUEL.

Przecież jéj nie zjem, bądź spokojna.

PANI GERVAIS.

Niezjesz zapewne, ale stłuczesz. Co ci się stało bracie, nie możesz utrzymać się na miejscu. To siadasz, to wstajesz, dotykasz wszystkiego, kręcisz się bez potrzeby. (*Naśladuje poruszenie Bruela, i potrąca łokciem wazon, który spada z komina, i tłuczę się na kawałki*). A co nie mówiłam?

ADELA. (*biegnąc do ojca*)

Czyś się nie skaleczył drogi ojcze?

BRUEL.

Nie.

PANI GERVAIS.

Wcale bym nie żałowała. Otóż po moim wazonie. Nie darmo ostrzegałam cię tyle razy.

BRUEL.

Samaś go stłukła siostro.

PANI GERVAIS.

Co? Ja! a to mi się podoba!

BRUEL.

Tak, nie inaczéj, o małożeś mnie nie skaleczyła w rękę. Przebaczam ci to, ale rzecz dziwna że się gniewasz bez najmniejszego powodu.

PANI GERVAIS.

Niechże i tak będzie. A więc mój wazon nie stłuczony. Oh! to nie do zniesienia.

BRUEL.

Cóż takiego?

ADELA. (*uspokajając ojca*)

Ciotka tylko co wyszła z choroby.

BRUEL.

Masz słuszność. No moja siostro, daruj mi przyznaję się do winy. Ofiaruję ci za to parę piękniejszych jeszcze wazonów. Jestem dziś w drażliwém usposobieniu. Co się stało że statek nie przychodzi?

ADELA.

Drogi ojcze! gdybyś już raz porzucił ten handel nie miałbyś tych bezustannych kłopotów!

BRUEL.

Gdybym go porzucił, umarłbym może z bezczynności, a potém nie miałbym za co kupić mojéj córeczce pereł i kaszmirów Indyjskich.

ADELA.

O! mam już dosyć pereł! a wszakże panny nie stroją się w kaszmiry.

BRUEL.

Mam nadzieję że nie zostaniesz zawsze panną.

ADELA.

Źle się bierzesz ojcze do zapewnienia mi przyszłości.

BRUEL.

Jakto?

ADELA.

Czy wiesz dla czego nie poszłam jeszcze za mąż, choć skończyłam rok dwudziesty pierwszy? bo zanadto jestem bogata.

BRUEL.

Za nadto bogata!

ADELA.

Tak jest. Ja pragnę aby mąż kochał mnie dla mnie saméj. Nie mów żem marzycielka, wiesz że nią wcale nie jestem. Przeciwnie, wychowaliście mnie z matką. na rozsądną i rzeczywistą kobiétę. Od najmłodszych łat byłam zawsze z wami, kilku dobrych przyjaciół, teatr, oto cała rozrywka nasza. Takie życie prowadziébym mogła, tylko z mężem prawdziwie do mnie przywiązanym. Dotąd ile razy kto prosił o moją rękę, pewna jestem że to czynił dla posagu. Czy pamiętasz tego syna bankiera? Zdawało się że mnie tak kocha, tak wielbi! nieprawdaż? przystałam na żądanie jego, z warunkiem że zamiast kapitału, będziesz mu płacił procent: otóż i miłość znikła jak bańka mydlana, a teraz oto poślubił kapitał i szczęśliwy!... Od téj chwili zwątpiłam o wszystkich. Tak jest, jam za nadto bogata! Czy myślisz ojcze że obraz nie traci, kiedy ma zbyt kosztowne ramy. Czyż książka nie zazdrości czasem, za nadto ozdobnéj okładce? Tak i ja zazdroszczę posagowi memu. Dla niego to odwiedzają nas, w nim się kochają, o niego czynią takie zabiegi. O! jakżebym chciała być ubogą. A może też to ów posag, który dla obojętnych tak wielką ma ponętę, wstrzymuje właśnie tego, co mnie prawdziwie ukochał. Jest może gdzie na świecie, jaki zacny młodzian. który nie śmié wyznać przywiązania swego, w obawie żeby go nie winiono o chciwość. Brzęk pieniędzy wszystko głuszy w tym domu!

BRUEL.

Panna bogata nie wié dla czego ubiegają się o jej rękę, ale uboga wié dla czego nie idzie za mąż.

ADELA.

Jeśli mnie nikt nie zechce, zostanę tak, jak jestem. Czy ci źle ze mną drogi ojcze?

BRUEL.

Gdybym był samolubem, czułbym się zupełnie szczęśliwy. Ależ ty cierpiałabyś na tém dziecię moje. Nie wyzywaj lepiéj ubóztwa, żeby cię Opatrzność nie złapała za słowo.

ADELA.

Wierz mi ojcze, ja mówię szczerze.

PANI GERVAIS.

Kto wié, może ty kochasz jakiego ubogiego młodziana.

ADELA.

Nie, ja nie kocham nikogo.

BRUEL.

Tym lepiéj. A teraz muszę odejść. (*Wychodzi potém wraca za chwilę*). Siostro czy będzie tu twój doktór?

PANI GERVAIS.

Czyś słaby bracie?

BRUEL.

Baudry często pisuje do niego, może być że odebrał wiadomość. Prosiłem Baudrego żeby mi doniósł o jednéj ważnéj sprawie.

PANI GERVAIS.

Pan Olivier będzie tu za kwandrans.

BRUEL. (*zbliżając się do komina*)

Zaczekam chwilę.

PANI GERVAIS.

Nie stłucz że drugiego wazonu. (*Bruel siada bierze w rękę dziennik*).

ADELA.

Ojcze, powiedz mi, czém jest Olivier panu Baudry.

BRUEL.

Zadajesz mi pytanie na które sam nie wiem jak odpowiedziéć.

PANI GERVAIS.

Ostrzegam cię że bardzo lubię Oliviera, i nie pozwolę mówić o nim źle w mojéj obecności.

BRUEL.

Ja téż nie obwiniam go wcale. Powiedziałem tylko że go nie znam.

PANI GERVAIS.

Jakto widujesz go przecie od lat dziesięciu?

BRUEL.

Widziałem go kilka razy w Hawrze, kiedy był jeszcze w szkołach, a następnie kiedy jako uczeń uniwersytetu, przepędził wakacje w domu pana Baudry. Mimo to wcale niewiem kto on jest.

PANI GERVAIS.

Nie zupełnie ci wierzę. Jesteś przyjacielem pana Baudry, czyż podobna abyś go nie pytał o niego?

BRUEL.

Mówił mi że to ubogi sierota, bez rodziców, że go wziął małém dzieckiem na wychowanie.

PANI GERVAIS.

Prawda; pojmuje że kto nie ma dzieci, może łatwo przywiązać się do ładnego i miłego chłopczyny.

BRUEL.

Olivier był dzieckiem nieznośném, gwałtownego i porywczego charakteru.

PANI GERVAIS.

Przesadzasz bracie. Był trochę żywy, uparty zwyczajnie jak większa część chłopców. Nie każdy tak jak ty urodził się pięćdziesięcioletnim mężczyzną. Otóż więc z tego nikczemnego dziecka, wyrobił się najszlachetniejszy i najzacniejszy młodzieniec.

BRUEL.

Straciłem go z oczu w ostatnich czasach. Odkąd został doktorem nie bywa już w Hawrze. Baudry mówił mi że w istocie bardżo się odmienił na swoją korzyść.

PANI GERVAIS.

Mnie to zapytaj o niego! Od czasu ostatniéj choroby widuję go codziennie, powtarzam ci że to młodzian jakich mało. Pełen poświęcenia, rozumu i osobistéj godności.

BRUEL.

Istny Anioł! ale zaręczam ci że był prawdziwym djabłem. Baudry nie mógł sobie z nim poradzić. Ja sam namawiałem go nieraz, żeby się pozbył téj uciążliwéj opieki.

PANI GERVAIS.

Piękna rada!

BRUEL.

Lecz Baudry mówi na to. „Jak chcesz, nie jestem jego ojcem.“ Skoro mu niczém nie jesteś, pocóż go trzymać w domu? Przyznam się że nigdy nie mogłem zrozumiéć, czemu Baudry obsypywał dobrodziejstwy chłopaka, który tak mu się źle odwdzięczał.

ADELA.

Może to właśnie było dla niego, tém silniejszą pobudką.

BRUEL.

Jakto? że mu odpłacał złém za dobre?

PANI GERVAIS.

Tak jest, rozumiem myśl Adeli.

BRUEL.

Rozumiesz że trzymał w domu cudze dziecko, dla tego, że było złe i krnąbrne. Co do mnie, nie umiem tego pojąć. (*Patrzy na zegar*) kwandrans na drugą. Twój doktór nie przychodzi... biegnę do pana Vincent.

PANI GERVAIS. (*przypominając sobie nazwisko*)

Vincent?

BRUEL.

Tak jest na niego właśnie czekałem. Nie rozumiem czemu nie przyszedł lub nie przysłał. Taka była umowa między nami.

PANI GERVAIS.

Vincent? poczekaj chwilę. (*Zbiera bilety wizytowe ze stołu i szuka, nie znajdując biletu pana Vincent spostrzega że zwinęła na nim włóczkę.*

BRUEL.

No i cóż?

PANI GERVAIS.

Zabawna rzecz muszę przewinąć moją włóczkę. Jesteś nieznośny.

BRUEL.

Sprzeczasz się a zawiniłaś sama.

PANI GERVAIS.

Kto z tobą trafi do ładu.

BRUEL.

Czy Vincent tu był?

PANI GERVAIS. (*odwijając włóczkę z kłębka*).

Pytałeś o list z Hawru? czemuż nie było powiedzieć że czekasz na pana Vincent? tak jest był i zostawił bilet wizytowy, na którym nakreślił coś ołówkiem.

BRUEL.

I gdzież ten bilet?

PANI GERVAIS. (*podając*)

Masz go.

BRUEL. (*czyta*)

„Do piérwszéj!" już za późno. Mniejsza oto... biegnę.

SŁUŻĄCA. (*oznajmiając*)

Pan doktór (*wychodzi*).

BRUEL. (*do pani Gerwais*)

Powinien ci dać lekarstwo na roztargnienie!

PANI GERVAIS.

A tobie na niegrzeczność.

BRUEL. (*do wchodzącego Oliviera*)

Witam pana czy masz wiadomość z Hawru?

OLIVIER.

Żadnéj.

BRUEL.

Przepraszam że odchodzę. Do widzenia (*wychodzi*.

SCENA II.

ADELA, OLIVIER, PANI GERVAIS.

OLIVIER. (*kłaniając się*)

Witam panie.

PANI GERVAIS.

Pan Doktór. Myślałby kto że to starzec poważny w okularach, z żabotem zapruszonym tabaką, a tu wchodzi młody człowiek, prawie dziecko. Wiesz co że moja choroba narobiła hałasu. Wszystkie znajome moje, nie chcą już innego doktora tylko pana.

OLIVIER.

Wdzięczny im jestem, ale muszę pogodzić się z innymi.

PANI GERVAIS.

A to czemu?

OLIVIER.

Nie jestem już doktorem.

PANI GERVAIS.

Jakto?

OLIVIER.

Dość mam już doktorskiego zawodu!

PANI GERVAIS.

Szalona myśl! kiedy zaczynasz nabierać wziętości, kiedy imię twoje krąży we wszystkich ustach! Podczas ostatniéj epidemji, zjednałeś sobie powszechne uwielbienie. Jedna młoda i ładna kobiéta mówiła wczoraj o panu ze łzami w oczach. Wszystkie dzienniki zajmują się twoją książką, na przekor akademji. I w takiéj chwili porzucać medycynę?

OLIVIER.

Porzucam ją stanowczo.

PANI GERVAIS.

I czemże się pan zajmiesz?

OLIVIER.

Mniejsza o to.

PANI GERVAIS.

Przebacz mi zbyteczną śmiałość, ale znałam cię małem dzieckiem mój doktorze. Nim uczynisz tak ważne postanowienie, poradź się wprzód tych, którzy cię kochają.

OLIVIER.

Alboż mnie kto kocha?

PANI GERVAIS.

A my? ja naprzód, któram ci winna życie.

OLIVIER.

Wdzięczność chorego dla doktora! zaczynam to rozumiéć. Stanowi ona jakby część choroby, objawia się razem z gorączką, słabnie zwracającemi siłami, ustaje ze zdrowiem.

PANI GERVAIS.

Co panu jest? czyżby pan Bruel prawdę mówił?

OLIVIER.

Pan Bruel?

PANI GERVAIS.

Wszak nie byłeś doktorem Adeli. Czy przyjaźń jéj nazwiesz także chorobą?

OLIVIER.

Panna Adela przybyła do Paryża przed sześciu tygodniami: spotykałem ją codzień. Była dobrą dla doktora swéj ciotki; a przytem znała mnie trochę w Hawrze. Pan Bruel przyjechał wczoraj, może jutro zabierze ją z sobą. Ja zostanę tu, a za miesiąc panna Adela tak będzie myśléć o doktorze, jak pani o chorobie swojéj.

PANI GERVAIS.

Możesz pan wątpić o nas, ale jest ktoś, o czyjem przywiązaniu powątpiewać nie wypada. Mówię o panu Baudry.

OLIVIER.

Pan Baudry!

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

Dodatek do Nru 2 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 2 (14) Stycznia 1865 roku.

JAN BAUDRY

PRZEZ

AUGUSTA VACQUERIE.

(*Dalszy ciąg*).

AKT II.

GABINET BRUELA W HAWRZE.

SCENA I.

BRUEL I ADELA (*siedzą u stołu założonego książkami i papierami*).

BRUEL. (*wstając*).

Próżna rzecz! jakkolwiek postawiemy liczbę, zawsze na końcu wypadnie *deficyt*.

KOMISSANT (*wchodząc*)

Kilka osób czeka na pana. Pan Gagneux, pan Perrier i inni których nie znam.

BRUEL.

Krucy! zwietrzyli trupa.

ADELA. (*do Komissanta*)

Za chwilę.

KOMISSANT.

Niecierpliwią się! Usłyszeli właśnie o rozbiciu Neptuna.

BRUEL.

Zła wieść pospiesza lokomotywą.

ADELA. (*do Komissanta*)

Powiedz pan że ojciec zaraz przyjdzie.

KOMISSANT.

Bank Tronszeta nie przyjął pańskich bon.

BRUEL.

Co? mój podpis zaprotestowany?

KOMISSANT.

Niemieliśmy nic w kassie; oddałem weksle, mamy czas do południa.

ADELA.

Dobrze!... (*daje mu znak aby odszedł.*)

BRUEL.

Mój podpis zaprotestowany!

ADELA.

Ojcze!

BRUEL.

Wczoraj wierzono w mój podpis. Lada świstek naznaczony mem imieniem, wart był sto tysięcy franków. Moje słowo wypłacono brzeczącą monetą, tak w Londynie, jak w Paryżu, w Nowym-Yorku i w Hawrze. Cały świat mi ufał. Dzis rzucają mi w oczy moje bony! kobieta nie zrozumie tego, ale widzisz Adelo, to najcięższa zniewaga dla bankiera!

ADELA.

Ojcze! ci panowie czekają, musisz wyjść do nich.

BRUEL.

I cóż im powiem? Żem strwonił ich pieniądze, że niepotrzebnie mi zaufali.

ADELA.

Poprosisz ich o chwilę czasu.

BRUEL.

Czas nie wskrzesi Neptuna.

ADELA.

Masz przyjaciół.

BRUEL.

Miałem ich. Źle mówię, stanowisko moje miało przyjaciół. Teraz, widzisz jak Baudry postąpił ze mną.

ADELA.

Pan Baudry przybędzie niedługo.

BRUEL.

Nie.

ADELA.

Gdyby cię chciał opuścić, pocóżby wczoraj tak spiesznie przybiegł do Paryża.

BRUEL.

Poto może pośpieszył do Paryża, aby dziś nie być w Hawrze.

ADELA.

Ojcze!

BRUEL.

Prawda jestem niesprawiedliwy. Miał chwilę dobrego popędu, która nie długo trwała. Prędko nas znudzi nieszczęśliwy przyjaciel.

ADELA.

Pan Baudry musiał zostać. Bądź pewien ojcze, on powróci, on cię ocali!

BRUEL.

Twoja łatwowierność dręczy mnie. Mamże ci odebrać, nie tylko majątek, lecz i tę świętą wiarę w ludzi?

ADELA.

Mówiłam ci ojcze że mi niczego nie żal.

BRUEL.

Udajesz, lecz ja czytam głęboko w myśli twojéj. Nie taką dziś jesteś jak wczoraj. Ubóstwo przeraża cię.

ADELA.

Nie ubóstwo mój ojcze.

BRUEL.

A cóż takiego?

ADELA.

Nie mówmy już o tém.

BRUEL.

Czybyś miała jakie zmartwienie, o którém ja bym nie wiedział?

ADELA.

Patrz, wszak się śmieję. Jeśli będziesz szczęśliwy ojcze, i ja będę szczęśliwą!

BRUEL.

Mogęż nim być, kiedy ty cierpisz?

ADELA.

Tak jest, będziesz szczęśliwy mój ojcze. (*Słychać głosy za drzwiami*) któż to jest?

BRUEL.

Głodne kruki ciągną już za łupem.

GŁOS KOMISSANTA.

Ależ panie!

GAGNEUX.

Powiadam ci że wnijdę. (*wchodzi*).

SCENA II.

ADELA, BRUEL, GAGNEUX.

GAGNEUX. (*wchodzi w kapeluszu na głowie*).

Ah! znalazłem pana.

BRUEL.

Zostaw nas Adelo.

ADELA.

Nie, powinnam wszystko słyszéć.

GAGNEUX.

Jeżeli pani myśli że obecność jéj zamknie mi usta, uprzedzam że żadna córka ani żona, nie zabroni mi wypowiedziéć tego co mam na sercu.

ADELA.

Mów pan.

GAGNEUX.

Naprzód proszę spokojnie mnie posłuchać powierzyłem panu 10,000 franków, przychodzę teraz po nie.

BRUEL.

Mój dobry panie Gagneux, wiesz zapewne o mojem nieszczęściu... statek....

GAGNEUX.

Nie mam ochoty słuchać pańskich lamentów, przychodzę po moje pieniądze.

BRUEL.

Nie mam ich.

GAGNEUX.

Ha! pan ich nie masz? powiadam że ich potrzebuję.

BRUEL.

Będziesz je pan miał, daj mi tylko chwilę czasu. Liczyłem na ten statek, gdyby przybył, lub był zaasekurowany w swoim czasie, nie lękałbym się niczego. Ciężko pokutuję za niedbalstwo mego Komissanta.

GAGNEUX.

Trzeba było nie spuszczać się na drugich. Mnie to nic nie obchodzi. Pan jesteś mi winien pieniądze. Tak albo nie? czy mi zapłacisz?

BRUEL.

Nie mogę.

GAGNEUX.

A więc ogłoszę cię bankrutem.

BRUEL.

Boże!

ADELA (*na stronie*).

Biedny ojciec!

GAGNEUX.

Bankrutem! tak będziesz nim! nauczę cię czy się pożycza pieniędzy bez oddania, czy się nadużywa ufności poczciwego człowieka, wyciskając z niego 10,000 franków. Zemszczę się. Nie odzyskam straty, lecz okryję cię hańbą.

BRUEL.

To bankructwo uczciwe mój panie.

GAGNEUX.

Powiedz to drugim! Czy pan myślisz że wierzę w te androny? Jest w tem jakaś tajemnica. Bajka że Komissant nie asekurował statku. Zmówiłeś się może z kompanią. Alboż ja wiem?

ADELA.

Dwie okoliczności zaświadczą za ojcem.

GAGNEUX.

Chciałbym wiedzieć aby jednę.

ADELA.

Wszak ojciec mój powrócił z Paryża. Gdyby się czuł winnym, byłby uciekł.

GAGNEUX.

A cóż drugiego?

ADELA.

Moja praca. Jak ludzie zobaczą że zarabiam ciężko na chleb, nieprzypuszczą aby ojciec był nieuczciwy. Jutro rozpocznę lekcje muzyki.

GAGNEUX.

Zawsze się zaczyna od tego: „Będę pracować, zarobię na chleb"! Dobrze, dawaj pani lekcje muzyki! Biegając z domu do domu po błocie, nie będziesz potrzebowała tych koronek i pereł, kupionych za nasze pieniądze.

BRUEL.

Milcz pan!

GAGNEUX.

Tak, za nasze pieniądze. Wstyd nosić na szyi i na ręku cudzą własność.

BRUEL.

Przebacz mi Adelo, żeś słyszała przezemnie te słowa, ale widzisz do czego to nędza prowadzi. Przyjmowałaś tego człowieka w swym salonie, grzeczny był, dobrze wychowany, uprzejmie z tobą rozmawiał, boś była bogata! Przychodząc w progi bogatych, ludzie stroją się w co mogą; kładą nowy frak, rękawiczki, trefią włosy, przybierają układną postać. Do ubogich przychodzą w powszedniéj odzieży brudnéj i podartéj, w zabłoconém obuwiu i z zabłoconą duszą.

GAGNEUX.

Ha! pięknie mi pan płacisz? w braku pieniędzy szafujesz zniewagą. Tak, ogłoszę cię bankrutem, po raz ostatni pytam czy odbiorę 10,000 franków?

BRUEL.

Nie mam ich.

JAN BAUDRY (*wchodząc*)

Oto są.

SCENA III.

JAN BAUDRY, BRUEL, ADELA, GAGNEUX.

BRUEL.

Baudry.

BAUDRY.

Wszakże 10,000 franków potrzeba temu panu?

GAGNEUX.

Wiedziałem że pogróżką wydobędę pieniądze.

BAUDRY.

Porachuj pan (*podaje mu paczkę biletów*).

BRUEL.

Dziękuję ci Baudry, lecz zachowaj bilety twoje. Odmawiam temu panu wypłaty.

GAGNEUX.

Jeśli pan nie zapłacisz, widzę w tem złą wolę.

BRUEL.

Wolno myśleć co się podoba. Inni wierzyciele nie zaspokojeni, mieliby prawo żalić się żem uczynił wyjątek. Ostatek mego mienia rozdzielę między wszystkich.

BAUDRY.

Wszyscy będą zupełnie zaspokojeni.

BRUEL.

Jeśli wystarczy, pan otrzyma całą należytość. W przeciwnym razie musisz poprzestać na stosunkowéj części. Zuchwałością nikt nie wymoże na mnie ustępstwa.

GAGNEUX (*zdejmując kapelusz*).

Trzeba nam się lepiéj porozumiéć. Jeżelim mimowoli uchybił.....

BRUEL.

O tak, pan nie jesteś zuchwałym względem pieniędzy. Wiem o tém. Do równego działu z drugimi. Nic więcéj.

GAGNEUX.

A więc czynisz pan w brew własnemu interesowi. Radzę panu porozumiéć się zemną. Nie powiem nikomu żem zaspokojony, przysięgnę żem nie odebrał ani franka. Innych ułagodzisz pan dobrém słowem. Z twardszemi ja sam pomówię. Gdybyś pan chciał, pomógłbym mu chętnie.

BRUEL.

Pomógłbyś mi kraść.

BAUDRY.

Nie idzie tu o zapłacenie jednym ze szkodą drugich, powtarzam że wszyscy będą zaspokojeni.

BRUEL.

Czem?

BAUDRY.

Masz przecież więcéj pieniędzy niż potrzeba.

BRUEL.

Wszystko obliczywszy brakuje mi... O mogę mówić przy panu, bo nic nie ukrywam, brakuje mi 200,000 franków (*Gagneux kładzie kapelusz*).

BAUDRY.

Źle policzyłeś.

BRUEL.

Przez całą noc rachowałem z Adelą.

BAUDRY.

Gdzież jest rachunek?

BRUEL (*biorąc papier ze stołu*),

Oto go masz.

BAUDRY.

Daj go tu! (*czyta*) „Grunta w Gravike; udział w spółce,... akcje..." widzę żeś roztargniony, nie dziwię się teraz żeś zapomniał assekurować Neptuna. Nie policzyłeś pół miljona franków.....

BRUEL

Jakiego pół miljona?

BAUDRY.

Mojego naturalnie.

BRUEL.

O Baudry! nieszczęście ma także piękną stronę!

GAGNEUX (*ocierając oczy*).

Jakże to zacnie! jak szlachetnie. (*Podaje rękę Baudremu.*

BAUDRY (*usuwając rękę*).

Dziękuję. (*Do Bruela*). Rozpocznijmy wypłatę.

BRUEL.

A ja o nim wątpiłem!

BAUDRY.

Chodź!

BRUEL.

Nigdy!

GEGNEUX.

No, mój kochany panie Bruel.

BRUEL.

Baudry, jesteś najszlachetniejszym człowiekiem. Byłbym ostatnim z samolubów gdybym przyjął.

BAUDRY.

A to czemu?

BRUEL.

Ż czegóżbym ci oddał taką summę?

BAUDRY.

Z twoich przyszłych dochodów. Jak popłacisz długi będziesz miał kredyt i rozpoczniesz na nowo interes.

BRUEL.

A jak się nie powiedzie.

BAUDRY.

O! zaręczam że pójdą pomyślnie.

BRUEL.

Nie mam już szczęścia, wiem o tém, zresztą zraziłem się do handlowych spekulacji. Gdybym jakim cudem odzyskał kredyt, nie chciałbym się po raz drugi narażać na bankructwo. Mam wstręt do tego domu, w którym znieważono córkę moją, opuszczę go natychmiast, bez powrotu. Nienadużyję uczynności takiego jak ty przyjaciela, człowieka z takiem sercem, dla kogo? dla ludzi takich jak pan, który na pierwszą wieść o klęsce przybiega z pogróżką i zniewagą na ustach!

GAGNEUX.

Chciéj mi pan przebaczyć.

BAUDRY.

Ależ kochany Bruel.

BRUEL.

Nigdy!

GAGNEUX.

Zastanów się pan, idzie tu o jego sławę...

BRUEL.

Lepiéj być uczciwym niż szanowanym.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).



TYGODNIK MÓD

w Warszawie